

Wyjątkowa opera więzienna

PREMIERA | Krzysztof Warlikowski
zadebiutował w Londynie, a publiczność
wydała się nieco zdezorientowana.

JACEK MARCZYŃSKI
z Londynu

To wszakże tylko po części można uznać za sprawę samego reżysera, ponieważ środowa premiera w londyńskiej Covent Garden jest znacznie bardziej skomplikowana. Po raz pierwszy w szacownym przybytku brytyjskiej Opery Królewskiej zagościł nie tylko polski reżyser, ale i samo dzieło – „Z domu umarłych” Leoša Janáčka – chyba jeszcze bardziej niezwykle niż teatr, jaki konsekwentnie kreuje Krzysztof Warlikowski.

W latach 20. ubiegłego stulecia, a więc u schyłku życia, Leoš Janáček zainteresował się powieścią, a właściwie reportażem Fiodora Dostojewskiego, w którym opisał on lata spędzone na zesłaniu. Tak powstała jedyna w swoim rodzaju „opera więzienna”, bez wyrazistej akcji, będąca obrazem losu jednostek w sytuacji życia w przymusie. „Z domu umarłych” to muzycznie i dramaturgicznie utwór wyjątkowy, zaliczany do najważniejszych oper XX wieku. Nie zmienia to faktu, że nie gości zbyt często na scenach, nigdy nie był wcześniej w Covent Garden prezentowany.

Lektury młodości

Co wyniknęło w Londynie z pracy polskiego reżysera nad dziełem znakomitego czeskiego kompozytora według po-

wieści genialnego Rosjanina? W pewien sposób na to pytanie odpowiedział Brytyjczyk – kom jeszcze przed premierą Krzysztof Warlikowski:

– Zanim przystąpiłem do pracy – wyjaśniał – zdecydowałem, że nie przeczytam na nowo jego powieści. Dostojewski był dla mnie bardzo ważnym pisarzem, gdy miałem ze 20 lat, pozostał w mej pamięci i wywarł niewątpliwie wpływ na to, jak postrzegam świat. Postanowiłem natomiast wcztać się w adaptację zrobioną przez Janáčka, która nie jest tak rosyjska, lecz bardziej uniwersalna. I to dla mnie było istotniejsze. Więzienny świat

 **RZECZPOSPOLITA**

PISALIŚMY O TYM:

O paryskiej premierze „Don Carlo-
sa” **Krzysztofa Warlikowskiego**

„Bezradność operowego maga”

18 października 2017 r.

 **archiwum.rp.pl**

istnieje przecież wszędzie, także w zachodniej demokracji. Nie tylko w Stambule, Moskwie czy Pekinie ludzie nadal płacą wysoką cenę za wolność wypowiedzi.

O tym właśnie chciał zrobić w Londynie spektakl. Miał ku temu podstawy, bo Gorianczikow, jeden z bohaterów opery, jest więźniem politycznym, wrzuconym w zbiorowisko tych, którzy zamordowali w afekcie albo po pijanemu wła-



♦ Na pierwszym planie: **Grant Doyle** (Mały Więzień) **Willard W. White** (Gorianczikow)

sne żony czy rywali. Od jego przybycia i od gorzkiej lekcji, jakiej pałkami udzielają mu strażnicy za to, że chciał dochodzić należnych mu praw, zaczyna się „Z domu umarłych”.

Więzienia na całym świecie i w każdej epoce są takie same – przekonuje Krzysztof Warlikowski i przy pomocy Małgorzaty Szczęśniak oraz jej sprawdzonych pomysłów zbudował w Covent Garden tę zamkniętą przestrzeń. Kto śledzi twórczość obojga artystów, zna dobrze ich teatralny świat ograniczony wysokimi ścianami, z rzędem krzeseł po boku lub z tyłu, z ruchomym pomieszczeniem-klatką wjeżdżającym co pewien czas na scenę.

Tu taka właśnie scenografia pełni funkcję więziennych pomieszczeń. Tym razem jest utrzymana w zimnych, surowych barwach i znów robi wrażenie.

Pierwszy akt opery trzyma w napięciu. Potem jednak napięcie siada, a całość rozpada się na szereg epizodów. Tylko niektóre z nich potrafią wstrząsnąć tak jak wspaniałe podana przez duńskiego barytona Johana Reutera opowieść Szyszkowa podstępem oze-

nionego z kobietą, która ko-
chała innego.

Beznadziejne położenie

Janáčkowski nie zależało aż tak bardzo na przykuciu uwagi widza dynamiczną akcją, przede wszystkim chciał nas poruszyć, prezentując losy ludzi i ich beznadziejne położenie. To nic, że każdy – z wyjątkiem Gorianczikowa – ma ciężkie przewinienia na sumieniu. Czy jednak nie gorsze jest to, że egzystują bez szans na odmianę swego losu?

Spektakl ma bardzo wysoki poziom muzyczny dzięki orkiestrze prowadzonej przez Brytyjczyka Marka Wiggleswortha oraz solistom. A jest ich w tej męskiej operze aż 17 oraz jedna kobieta. Niemal każdy ma swój epizod, ale – co ciekawe – najmniej wyraziście wypada ten, na którym reżyserowi najbardziej zależało. To oczywiście Gorianczikow, w którego wciela się ulubiony śpiewak Willard W. White, artysta z ogromnym doświadczeniem i o bogatej karierze.

Najbardziej brakuje temu spektaklowi scenicznej spójno-

ści. Swoim zwyczajem Krzysztof Warlikowski wprowadził postaci dodatkowe, innym kazał pozostać na scenie, mimo że kompozytor zaplanował dla nich tylko krótką chwilę obecności. W tym bogactwie drugiego i trzeciego planu, wśród snujących się różnych więziennych tancerzy z agresywną choreografią czy koszykarzy dramat człowieka staje się momentami mało istotny.

Londyńska publiczność podzieliła się zatem w swoich reakcjach, bo jeśli ktoś myśli, że Brytyjczycy są bardziej chłodni w wyrażaniu swych operowych wrażeń od innych nacji, ten jest w błędzie. Potrafią emocjonalnie pokazać zarówno uznanie, jak i dezaprobatę. Tak było właśnie tym razem.

Nie zmienia to faktu, że podczas swych reżyserskich wędrówek po Europie Krzysztof Warlikowski zaliczył nowe, niezwykle ważne miejsce. Na razie nie wie jeszcze, czy do Londynu wróci, zresztą przed nim kolejny, istotniejszy debiut – latem tego roku na festiwalu w Salzburgu. ©



Więcej zdjęć ze spektaklu
w Covent Garden

rp.pl/kultura